



## **Wędruś - czyli o leśnym wędrowaniu sprzed lat**

Idąc za głosem sumienia, z inspiracji prof. Jerzego Hałasa i Andrzeja "Smoka" Franczyka chcę przypomnieć o pewnym fenomenie szkolnym z lat 70. tamtego wieku, czyli dla obecnych uczniów Technikum faktów z czasów prehistorycznych, gdy po rynku w Lesku snuły się jeszcze dinozaury. Mowa oczywiście o klubie "Wędruś", który działa wciąż, a w kolejnych dekadach dokłada do swej historii bardzo ładne karty.

W kronice klubu można znaleźć zapis: *Dziś na VII Rajdzie Szlakiem Partyzantów "Muchy" Kunickiego 15 września 1975 roku narodził się "Wędruś". Klub turystyczny ZHP i PTTK przy Technikum Leśnym w Lesku.*

Czytam go dziś z rozrzewnieniem, bo przypomina mi najwspanialsze chwile spędzone w szkole i w górach. Są one zresztą uzasadnieniem wszystkiego, co zdarzyło mi się później: praca w Bieszczadach, działalność w GOPR i w przewodnictwie górskim.

Wszystko zaczęło się od pewnej rusycystki, która od 1975 roku zaczęła uczyć w naszej szkole. Ewa Górecka, znana później pod nazwiskiem Wójcik, była wtedy aktywną turystką i działaczką PTTK, inicjatorką wielu rajdów i imprez krajoznawczych, jak również założycielką i opiekunką "Wędrusia". Trzeba wspomnieć, że autorem tej oryginalnej nazwy klubu był przezacny nasz fizyk, prof. Edward Flisowski. Był też przez nas szanowany jak prawdziwy ojciec chrzestny.

Dla mnie osobiście druga połowa dekady lat 70. to było wejście do prawdziwej turystyki zorganizowanej. Życie internackie dawało ogromne możliwości działania w takim obszarze. Pięknym zwyczajem wprowadzonym przez Wędrusiów było oprowadzanie pierwszoklasistów po Lesku kończone ogniskiem pod Kamieniem Leskim. Impreza ta odbywała się w pierwszym tygodniu roku szkolnego i była znakomitym motywem integrującym młodych, przybyłych tu z różnych zakątków regionu i kraju. Często ci, którzy w niej wzięli udział, zostawali zapalonymi turystami. Poza tym bycie w klubie nobilitowało wśród szkolnej braci, bo tu nie wystarczyło się zapisać. Do Wędrusia trzeba się było nadawać.

Chłonałem wieści z pierwszych klubowych rajdów, byłem na każdym slajdownisku czy turystycznym śpiewogranii w internatowej świetlicy.

W klubie było zawsze sporo indywidualistów, ale takich, którzy umieli grać zespołowo. Stąd pewnie z łatwością klub wygrywał rajdowe konkursy krajoznawcze czy na piosenkę turystyczną. Jaką potęgą w tym względzie był "Wędruś" świadczy choćby fakt, że za wykonanie piosenki "Bukowe Berdo", zdobył „Laur Bieszczadzkiego Barda”, czyli Grand Prix Przeglądu Piosenki Turystycznej 1978 roku. O tym sukcesie warto napisać kilka zdań więcej, bo wiąże się on z niezwykle osobowością Andrzeja Franczyka, zwanego "Smokiem", pewnie zarówno dla swego krakowskiego pochodzenia, jak i niezwyklej fizjonomii. Dziś to uznany aktor filmowy i teatralny, wówczas fabryka wesołości i guru ds. kultury dla szkolnych kolegów.

Sama piosenka "Bukowe Berdo" zrodziła się na rajdzie wykopkowym w Bieszczadach (w okresie kampanii ziemniaczanej były wówczas w szkole trzy dni wolne). Wyprawa wędruśców pod wodzą prof. Góreckiej ruszyła przez Tarnicę, Halicz i grań Bukowego Berda, które przemierzyła w huraganowym wietrze. Potem odpoczynek w schronisku na Otrycie, gdzie „Smoku”, będąc jeszcze pod wrażeniem wędrówki, napisał wiersz zaczynający się od słów: „Na Bukowym Berdzie wiatr z nóg zrobił wiatraki....”.

*- Nie mogłem swych mocnych wrażeń zostawić tylko dla siebie, więc przelałem je szybko na papier i przeczytałem wiersz kolegom... - wspomina po latach Andrzej Franczyk.*

Chwilę po tej prezentacji Zdebek Konopelski, świetny gitarzysta z tej samej klasy, zaczął do tych słów komponować melodię. Nazajutrz wieczór, przy świecach, w schronisku na Połoninie Wetlińskiej, odbyło się prapremierowe wykonanie „Bukowego Berda”. Wkrótce stało się ono sztandarową piosenką „Wędruścia”. Jeszcze tej jesieni utwór w wykonaniu młodych leśników zdobył „Laur Bieszczadzkiego Barda” i stał się jednym z górskich przebojów turystycznych. Gitarzystą, który liderował wykonawcom, był Mariusz Tais. Mało kto chciał wierzyć, że autorami utworu było dwóch adeptów leśnictwa z Leska.

*- „Bukowe Berdo” to piękne wspomnienie, które wciąż wraca... - rozmarza się autor słów. - Kilka lat temu byłem w Cisnej na spotkaniu z Bieszczadzkiemi Aniołami, zasiedzieliśmy się gdzieś przy ogniu. Było już dobrze po północy, echo niosło śpiewy jak cholera i wtedy gdzieś od wiaty przystanku przywiało znane mi nuty... Natężam słuch i nie dowierzam... Po 30 latach pod gwiazdami nieba Cisnej usłyszałem śpiew: „... na Bukowym Berdzie wiatr, z nóg zrobił wiatraki...” Mój tekst! Moja młodość! Moje życie! Cóż za nagroda! Co za radość niewypowiedziana!!!*

Równie dobrze szło wędrującym w konkursach krajoznawczych, zwłaszcza tych rajdowych. Ale o hegemonii w tym względzie świadczyć może rok 1978, kiedy to w Wojewódzkim Turnieju Krajoznawczo-Turystycznym uzyskaliśmy prawo zgłoszenia dwóch drużyn (jedna pod patronatem PTTK, druga ZHP). Okazało się, że drużyna starsza (Zdzichu Hamułka, Wacek Wieliczko i Zbyszek Bizoń) wygrała ten turniej, zaś druga nasza trójka (Maciek Jędrzejczyk, Darek Tybur i piszący te słowa), zajęła trzecie miejsce, tracąc do renomowanej drużyny sanockiego "mechanika" zaledwie 2 punkty! To było mniej niż pół promila ogólnej sumy! Niesamowite - w trzecim roku istnienia klubu byliśmy już znani w Polsce! W finałach, które odbyły się w Dęblinie nasza zwycięska drużyna była na VI miejscu po konkurencjach merytorycznych. Chłopaki wygrali konkurencję marszu na orientację. Niestety, nie mieli takiego dorobku punktowego w odznakach turystycznych co rywale i w ogólnej klasyfikacji dało to dopiero 24. miejsce.

Byliśmy wówczas w górach przy każdej ważnej okazji: rajdy śladami partyzantów "Muchy" Kunickiego, rajdy walterowskie, rajdy nocne i narciarskie, nocne wędrówki pamięci na Gruszkę, biegi na orientację. W 1978 roku drużyna naszego klubu zdobyła Złoty Kompas Bieszczadów, a już arcyważnym wydarzeniem było powołanie sześciu Wędrujących na sędziów Centralnych Zawodów Wojska Polskiego na Orientację, które przez tydzień odbywały się w okolicach Nasicznego. Mieliśmy wówczas niesamowite doświadczenie i honor być traktowani jak dorośli, poza tym... nie było z nami żadnego opiekuna.

Dla mnie bardzo ciekawym doświadczeniem było przejście w 1978 roku z grupą wytrawnych przewodników granicą od Przełęczy Bukowskiej do źródeł Sanu i powrót przez chaszczę Sianek, Beniowej i Sokolików. Do "Wowka" załatwiła dla nas 10 miejsc na tej wyjątkowej wycieczce szkoleniowej.

Droga na Bukowską była ukończona zaledwie kilka lat wcześniej a park jeszcze bez większych problemów udzielał zgody na wjazd autokaru. Z kolei droga z Mucznego dochodziła wówczas do potoku Wołowiec, a Halicz i wszystkie potoki po drodze trzeba sforsować brodem. Złało nas wtedy okrutnie, ale w drodze powrotnej dostąpiliśmy zaszczytu picia herbaty w wojskowej stołówce w Mucznej, gdzie już urzędowali żołnierze MSW, a hotel robotniczy był w remoncie pod potrzeby dygnitarzy z URM. Nie spodziewałem się, że ta wyprawa pociągnie mnie do pracy w "worku" na kilka pięknych lat, bo w 1981 roku sam zamieszkałem w tym hotelu.

W czasie naszych wędrujących wypraw mieliśmy okazje spotykać późniejsze sławy: Wojtka Belona, Władka Nadoptę, a na poloninie z radością witała nas Ulka Pińczukowa i Józek Lubiński, bo znali nas już z chęci pomocy w pracach schroniskowych.

Na Caryńskim z kolei odwiedzaliśmy Zdzicha Radosa w czasach jego pustelniczego życia w chatce nad strumykiem w górze doliny, do której dojścia strzegł wydłubany w kikucie starego świerka "pomnik jagodziarza". Te klimaty odcisnęły na pewno mocne piętno na naszych relacjach z górami i z ludźmi gór.

Aktywna działalność klubu została zauważona, zarówno przez ówczesne władze ZHP, (stąd wędruśiom sypnęło awansami na stopnie instruktorskie), jak również w PTTK na szczeblu centralnym. Jakież było zaskoczenie, gdy Zarząd Główny PTTK uznał nasz klub za najlepszy w kraju i w ramach nagrody przysłał turystyczną bibliotekę. To było ponad 200 książek, przewodników, map, albumów, które nie mogły się pomieścić w skromnym klubowym lokaliku. Radość była wielka!

I wreszcie epizod związany z corocznymi rajdami PTSM, w których również brylowaliśmy. W 1979 roku zdobyliśmy prawo reprezentowania naszego województwa na centralnym rajdzie w Słupsku. Dla wielu to był wyjazd życia. Ruszaliśmy jeszcze przed końcem roku szkolnego prawie na dwa tygodnie, żeby wędrować po ziemi pomorskiej!

Tym razem nie było z nami "Wowki" Góreckiej. Bardzo chcieli nam ją zastąpić profesorowie Jerzy Hałas i Franciszek Maresz. Wkładali w ten rajd cały swój autorytet i pedagogiczny kunszt. Ale nie jest łatwo utrzymać na smyczy dwudziestu spuszczonej z niej młodzieńców. Bywało, że nadużyliśmy zaufania, bywało też, że jako osiemnastolatki zachowywaliśmy się niecałkiem jak dorośli. Ale po latach, gdy pytam opiekunów o wrażenia, to okazuje się, że zostały same dobre.

Dla wielu z nas wyjazd ten był ukoronowaniem turystycznej działalności w szkole, bo żeby się nań załapać, trzeba się było wykazywać. Na samej imprezie mieliśmy możliwość nie tylko "zaślubić się z morzem", ale przede wszystkim zobaczyć inne lasy, nowych ludzi i zdobyć doświadczenia, których nie da się kupić za żadne pieniądze.

Leśne wędrowanie z "Wędruśiem" dla niektórych z nas było dopiero początkiem bogatych turystycznych doświadczeń. Wśród nas przecież dorastali późniejsi przewodnicy górscy i ratownicy GOPR. Na pewno zaś wszyscy lepiej poznaliśmy nasz region niż ci, którzy woleli wybrać internatowe legowisko czy leskie planty.

Wiem, że niewiele tu przytoczyłem faktów sprzed lat, bo też nie miałem zamiaru pisać monografii "Wędruśia" - on przecież wciąż działa. Zresztą kolejne roczniki uczniów zapisywały w jego kronikach równie piękne karty. Opiekunami klubu byli też jego wcześniejsi członkowie, jak Jurek Wałachowski czy Mariusz Smaczny. Bardzo wysoko postawiła poprzeczkę kolejna jego opiekunka Ola Markiewicz, która w czasach, gdy ja prezesowałem klubowi zaczynała dopiero chodzić po górach jako młoda licealistka.

Ale później, jako nauczycielka i opiekunka, Ola mocno zintegrowała grupę ludzi pochodzących z Bieszczadów, a wyczynem wciąż godnym pamięci jest klubowa publikacja "Worek bieszczadzki", która mogłaby się już doczekać wznowienia.

Pamiętam, że później opiekunem klubu był Bogdan Paszkiewicz i to on w listopadzie 2001 roku zorganizował spotkanie pokoleń Wędrusiów w dolinie górnego Sanu. Wówczas klub miał już ponad 25 lat działalności za sobą. Bardzo sympatycznie wspominam tamten turystyczny wieczór. Były opowieści, dumki i turystyczne hity na kilka gitar. Znow śpiewaliśmy, że "w górach nie ma już nikogo..." Był też oczywiście "Czerwony pas..." i kołomyjka odtańczona do każdego refrenu. A nazajutrz wędrowanie ku źródłom Sanu, jak dawnej.

Napisałem o tym wydarzeniu w Lesie Polskim (nr 5 z 2002 r.), wierząc, że co parę lat będziemy się tak spotykać w górach... Ale czas uciekał...

Mam jednak wciąż nadzieję, że kiedyś uda się znow spotkać, że będzie przyjaźnie i uroczyście, jak zawsze, gdy ludzie z ludźmi spotykają się w górach.

*Edward Marszałek*  
*prezes "Wędrusia" w latach 1978-80*